ODKUPIMY WASZE BILETY

TYLKO TAM NIE JEDŹCIE

FRAGMENTY KSIĄŻKI

Indie
Nepal
Wietnam
Chiny

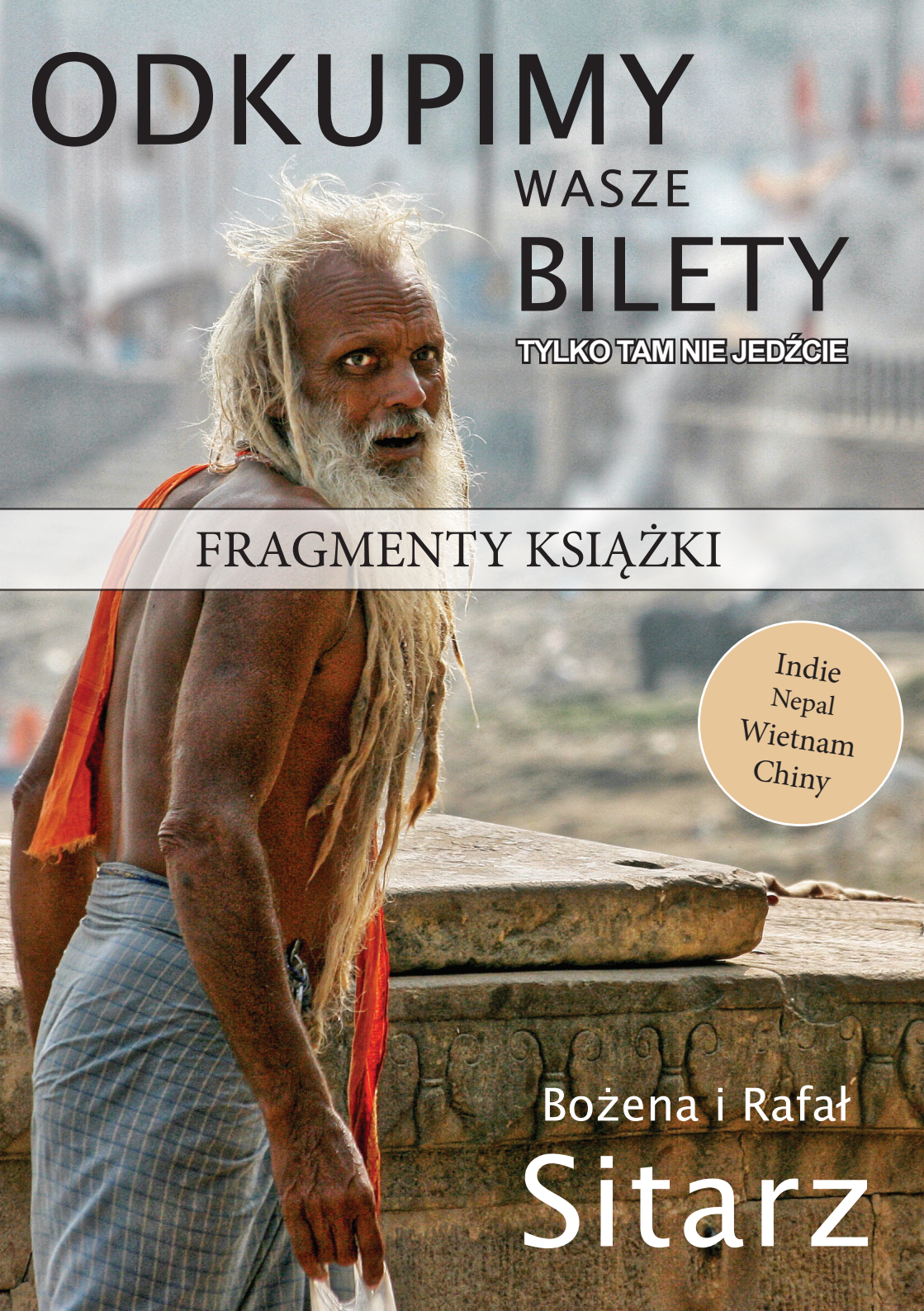

Bożena i Rafał
Sitarz

Incredible India

Święte miasto Waranasi

Wtaczamy się na stację, gdy jest jeszcze ciemno. Co kilka metrów na peronie leży postrzępiona szmata przykrywająca śpiącego człowieka. Mimo wczesnej pory powietrze lepi się i czuć, że rozgrzewa się coraz bardziej z każdą minutą. Zza murów dworca nieśmiało przebijają odgłosy motocykli i samochodów. Tłum kolorowo ubranych ludzi tworzy coraz większy gwar. Specyficzny zapach miasta dociera znad rzeki aż na dworzec. Czujemy, że żyjemy.

Do Waranasi turyści jadą głównie po to, żeby zobaczyć życie nad Gangesem. Rzeka ciągnie się przez dwa i pół tysiąca kilometrów, ale to miasto jest szczególne. Część podróżnych zostaje na kilkanaście dni, ale liczni uciekają po pierwszym noclegu, a jeszcze kolejni wsiąkają na długie tygodnie, paląc haszysz w knajpkach. Z wszystkich odwiedzonych przez nas miejsc na świecie właśnie Waranasi zrobiło największe wrażenie. Zostawiło trwały ślad. Zwycięzca w kategorii za całokształt. Nie jest piękne. Nie ma cudownych zabytków. Nie ma najlepszych widoków. Ale jest niesamowite, inne, ciekawe w każdym najmniejszym elemencie. Gdy się je raz zobaczy, to już się nie zapomni. I nie ma szans, żeby przygotować się na wizytę. Miasto jest przerażająco prawdziwe. Waranasi pokazuje w pełni trudy życia w Indiach. Bez ko-

lorowania i udawania. Najważniejsza w mieście jest święta rzeka Ganges, wyczuwalna wszechobecna wiara i śmierć.

Nasze dni nad Gangesem zlewają się w jedno wielkie pasmo widzianych scen. Pamiętamy początek pierwszego dnia, a pozostałe tworzą surrealistyczną całość. W Waranasi przybysz z Zachodu jest zmuszany do przesuwania swoich granic wytrzymałości i poszerzania horyzontów. Wokół dzieje się mnóstwo rzeczy, o których w naszym świecie nikt by nawet nie pomyślał. Niby rozgrywają się obok turysty, a z drugiej strony jest się w środku wydarzeń, które wydają się wyjątkowo brutalne i nierealne według naszych standardów. Kolorowi pielgrzymi w wodzie, palące się stosy ze zmarłymi, łodzie na rzece tonące w chmurach dymu ze stosów, orszaki żałobne, bezzębny staruszek układający gołymi rękami krowie odchody na schodach, aby wyschły przed sprzedażą na opał, biedacy przesiewający prochy zmarłych w poszukiwaniu złota, barwne budowle nad rzeką, psy szukające przy stosach niedopalonych ludzkich kości z kawałkami mięsa, nocne ceremonie z kapłanami nad Gangesem, bawiące się w wodzie dzieci, kobiety robiące pranie wśród popiołów. Można wymieniać bez końca. Brzeg jest sercem miasta. Bez przerwy ktoś zaczepia, szarpie, oferuje usługi. Masaż? Rysowanie kropek na czole? Może dacie po prostu rupie albo kupicie bransoletki od dziecka? Nie ma chwili wytchnienia, a zmęczenie potęguje dezorientację. Jest się jak na haju. To nie jest realne.

Dlaczego Waranasi jest tak wyjątkowe? Tak czysto teoretycznie. Wyznawcy hinduizmu wierzą, że miasto leży na trójzębie Śivy, gdzie bóg może mówić do umierających. Wierzący Hindus przynajmniej raz w życiu powinien zanurzyć się w świętej wodzie podczas pielgrzymki do Waranasi. Przy brzegu mijamy przekrój ludzi z całego olbrzymiego kraju, którzy modlą się, przyjechali spotykać się z guru, a liczni dotarli, żeby... umrzeć. Szokujące, ale tak jest. Starzy, schorowani czekają w małych pokoikach w rodzaju hospicjów w pobliżu Gangesu, aż nadejdzie ich koniec. Czasem trwa to dni, rzadziej tygodnie, a nie wszystkim udaje się przetrwać trudy podróży z oddalonych o tysiące kilometrów miast i wiosek. Wierni jadą z najdalszych zakątków Indii, wydając nierzadko całe oszczędności, gdyż wierzą, że spalenie ciała nad Gangesem

zapewni nirwanę. Jest to rozumiane jako przerwanie sansary, czyli kręgu, w którym istoty odradzają się po śmierci w nowych wcieleniach. Kolejne postacie są wybierane w zależności od zgromadzonej karmy z wcześniejszego życia. Można wrócić jako pies, a ponoć jest to słaba opcja. Upragnionym końcem wędrówki jest właśnie nirwana, czyli zbawienie. Mocne uproszczenie, ale pokazuje wagę, jaką przywiązują wierni do miasta. Co innego przeczytać czy posłuchać, a czym innym jest zobaczyć na własne oczy i odkrywać szczegóły tego miejsca. To zupełnie dwie różne sprawy.

Dowcipy, że ryby wyłowione z Wisły na wysokości Warszawy świecą w ciemnościach od stężenia niektórych pierwiastków, mogłyby miejscowy sanepid (zapewne takowy istnieje) co najwyżej rozczulić. Ganges to jedna z najbardziej zanieczyszczonych rzek na świecie. Przepływa przez ponad sto miast. Urządzana jest nad nią niezliczona liczba festiwali, podczas których kąpią się tłumy ludzi, zwierząt i wrzucane są śmiecie, wlewane są ścieki, a lwią część stanowią produkowane przez zakłady oraz elektrownie odpady przemysłowe składające się z ołowiu i miedzi. Miliony ton toksyn. Do tego płyną spalone szczątki zmarłych. Stężenia bakterii coli nie warto badać. Wartości przekraczają wszelkie logiczne i dopuszczalne granice. W tej właśnie wodzie wierni pragną się zanurzyć oraz się jej napić.

Po zameldowaniu zostawiamy bagaże i wynajmujemy łódkę. Słońce zaraz wzejdzie. Płyniemy powolutku w kierunku centralnie położonych ghat. Zakładaliśmy, że zapachy będą uprzykrzały życie, ale jest w porządku. Właściciel solidnej, ale wysłużonej łodzi mamrocze pod nosem, dodając regularnie słowo brzmiące mniej więcej „*teplllle*", co pewnie ma oznaczać świątynie. Biedak non stop próbuje coś powiedzieć, ale nic nie rozumiemy. Podziwiamy zaś jego upór. Przejażdżkę uzgodniliśmy na czas, więc wiosłowanie idzie bardzo spokojnie, nawet jak na indyjskie standardy. Możemy przyjrzeć się otaczającym nas „cudom", przetrzeć oczy i spojrzeć ponownie. I potem jeszcze raz. I wciąż nie wierzymy w to, co widzimy.

Nad Gangesem wybudowano ghaty, czyli szerokie, kamienne schody prowadzące na brzeg. Górują nad nimi mniej lub bardziej okazałe budowle – świątynie, potężne domy należące w przeszłości do

Poranna kąpiel w Gangesie.

Widok na ghaty w Waranasi. Na pierwszym planie płoną stosy, przy nich mężczyźni przesiewają popiół w poszukiwaniu złota, a dwadzieścia metrów dalej ludzie piorą ubrania.

maharadżów. Niektóre są szare i proste w formie, a inne mają finezyjne kształty podkreślane przez jaskrawe kolory. Dzień rozpoczyna się od rytuałów na ghatach, a po nich przychodzi czas na codzienne czynności. Gdy niebo jest jeszcze szare, ludzie przychodzą, żeby się wykąpać. Wchodzą po kolana lub po pas do wody. Obmywają twarze, zanurzają się, modlą, wznosząc ramiona do góry i piją, przelewając wodę rękami. Tak, piją, wierząc, że woda ich uzdrowi, albo też namydlają się i spłukują. Wyglądają na szczęśliwych. Zapewne przeciętny Europejczyk po wypiciu „świętej wody" ekspresowo zbliżyłby się do momentu opuszczenia doczesnej krainy. Hospitalizacja gwarantowana. Najwyraźniej mają inną odporność. Nie widać końca kolorowych grup wiernych. Ktoś wchodzi do rzeki, inni przygotowują się lub wdrapują się na wyższe stopnie, żeby się osuszyć. Większość postaci jest fascynująca. Mężczyźni w garniturowych spodniach i koszulach wciągniętych za pasek wchodzą do Gangesu obok bosych biedaków w strzępach ubrań lub owiniętych skrawkiem materiału przewiązanym w pasie. Kobiety we wzorzystych sari obwieszone biżuterią podtrzymują wychudzone staruszki. Ilość detali jest niesamowita. Mgła unosi się nad wodą, leniwie płynące łódki wśród dryfujących świeczek zapalonych na szczęście i pomarańczowych sznurów kwiatów unoszonych nurtem – to magiczne połączenie. Ludzie myją się na brzegu w zupie z tego, co Ganges zebrał po drodze i co do niego wrzucono. Płyną wyspy śmieci, tłuste plamy, między łódkami wynurza się napuchnięta martwa krowa wśród sznurów zgniłych kwiatów, małych świeczek, odpadków. Siedząc w kuckach w błocie na brzegu, chłopiec myje zęby, płucząc buzię wodą z rzeki, a obok niego maluch załatwia swoje potrzeby bezpośrednio na schody. A na nich wszystkich spływają popioły ze spalonych ciał. To powoli dopełnia widoku. Tuż obok moczą się byki, kozy, błąkają się krowy. Cofnęliśmy się do krainy sprzed dwustu lat. Wierzenia przybierają w Waranasi na sile i życie jest im podporządkowane. Patrzy się, nie rozumiejąc, co się widzi, a dopiero z upływem czasu wyławia się poszczególne postacie, detale oraz próbuje się odkryć znaczenie czynności.

Dwie ghaty wyróżniają się z pozostałych. Nazywają się Manikarnika oraz Harishchandra. Obie służą jako miejsca kremacji. Płoną

na nich stosy. Nieprzerwanie przez całą dobę i cały rok. Unoszący się popiół ze spalonych ciał spowija okolicę, a woda niesie ze sobą czarne gęste plamy w miejscach, gdzie resztki zwłok zostały wysypane do Gangesu. Unoszą się niczym rozlana ropa. Ciała palą się jedno przy drugim. Nad ranem i wieczorem można obok nich swobodnie przepływać i robić zdjęcia, jeżeli ktoś ma ochotę. W ciągu dnia próby fotografowania mogą się skończyć pobiciem, zniszczeniem sprzętu lub próbą pobrania ekstremalnie wysokiej opłaty przez rodziny zmarłych.

Do Gangesu trafiają bez kremacji ciała osób zmarłych w wyniku ugryzienia przez węże, kobiet w ciąży, małych dzieci, trędowatych, świętych mężów sadhu oraz ludzi w bardzo podeszłym wieku. Oni są uważani za „oczyszczonych", zwłoki zostają obciążone kamieniami i wrzucone do wody. Nie powinny wypłynąć, lecz nie zawsze tak jest.

Regularnie mijamy turystów w łódkach. Większość z nich ma niepewne miny. Panie w kapeluszach lub czapkach z daszkiem, a panowie często w strojach à la Indiana Jones, ładnie ubrani w kraciaste lub ciemno-zielone koszule wciągnięte w spodnie (może mają wyglądać jak odkrywcy z XIX wieku). To są grupy zorganizowane, podróżujące klimatyzowanymi autokarami i otoczone opieką. Możliwe, że w Waranasi wkroczyli pierwszy raz na dłużej niż chwilę między ludzi. Część zakrywa usta, bo wyraźnie jest im niedobrze. Widać, że gdyby dostali propozycję lotu do domu za piętnaście minut, to popłynęliby wpław do brzegu i pobiegli na lotnisko bez bagażu. Nie dziwimy się, bo jeżeli przyjechali prosto z Taj Mahal, to przeżywają terapię szokową.

Gdy już zobaczyliśmy myjących się wiernych, palone ciała i popiół porywany przez nurt, to zwracamy uwagę na grupy piorące na schodach ubrania. Układają je na kamieniach i pocierają lub uderzają nimi o posadzkę. Potem zostawiają na ghatach lub w błocie do wyschnięcia. Co jakiś czas zbiega po nich stado krów czy depczą je przechodnie. Kolor biały w wypranych rzeczach jest ciemnoszary. Może mieć na to wpływ popiół, który płynie w kierunku „pralni". Widać, że rzeczy były czyszczone, ale nie są czyste. Indyjski wyprany brud. Gdy widzimy leżące prześcieradła, dociera do nas, że przez najbliższe noce będziemy na takich spać. Przecież w hotelu tak samo piorą. Jakkolwiek byśmy patrzyli, jesteśmy częścią miasta. Dobrze, że mamy śpiwory.(...)

Chiny

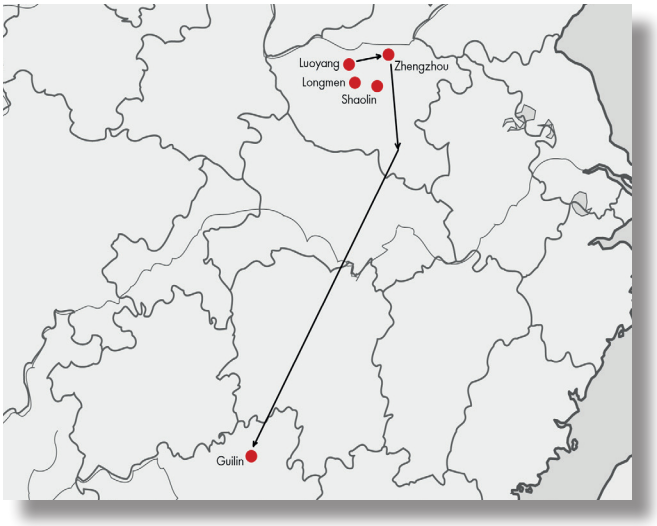

Niezapomniana doba w pociągu i Guilin

Można powiedzieć, że wychodzimy na prostą w poruszaniu się po Chinach. Przestaniemy się kręcić w kółko, a zaliczyliśmy już mnóstwo wymuszonych przesiadek z racji przekombinowanego systemu zakupu biletów. Można się w tej sytuacji doszukiwać plusów, bo spotyka się interesujących ludzi. Na przykład w Taiyuan poznaliśmy bileterkę, która na każde pytanie odpowiadała: *I don't know, sorry.* Takie króciutkie zdanie, a takie użyteczne. Gdybyśmy nie stracili doby na przesiadkę, to byśmy go nie docenili. Mieliśmy także okazję zatrzymać się z racji braku noclegowni w hotelu na godzinki z pięknym różowym wystrojem, gdzie atrakcją był bojler, który po odkręceniu wody puszczał muzykę.

Teraz nadszedł oczekiwany dzień ponad dwudziestogodzinnej podróży pociągiem z Zhengzhou do Guilin. Pocieszeniem może być fakt, że mamy miejscówki, ale jest to na zasadzie, że inni mają gorzej. W wagonach nie ma przedziałów. Drewniane ławki mają oparcia pod kątem dziewięćdziesięciu stopni w stosunku do siedziska. Są tak krót-

kie, że może się na nich zmieścić względnie swobodnie dwóch Europejczyków. Ale to są trzy chińskie miejsca. Gdy wpychamy się do zapełnionego wagonu i siadamy, to nie jesteśmy w stanie nawet pochylić głowy, ponieważ co kilka sekund trącają nas zirytowani i zmęczeni pasażerowie, którzy za wszelką cenę walczą o pozostałe fragmenty ławek.

Podsypiamy. Owijamy szyje polarowymi bluzami, żeby głowa nie skakała, to znowu opieramy czoła o blat małego stoliczka. Kąt siedzenia jest zabójczy dla kręgosłupa. Po dziesięciu godzinach trzęsienia krzyż zgłasza zdecydowany sprzeciw. Wstać trudno, bo tłok, a siedzieć źle. Aby było barwniej trafiamy na doborowe towarzystwo. Dwóch siedzących naprzeciwko nas Chińczyków uzupełnia się doskonale. Pierwszy, ubrany w markowe chińskie ciuchy, gada jednostajnie, jakby klepał z pamięci złote myśli Mao – i to opatrzone bogatym komentarzem. Trajkotanie komponuje się ze stukotem kół. Gdy budzimy się po mocniejszym szarpnięciu pociągu, przemowa trwa dalej, a kompan przytakuje ze zrozumieniem. Mówca jest raczej partyjny, bo chwali się dokumentem w czerwonej okładce, a reszta (czy chce, czy też nie) kiwa z respektem głowami. Spróbowaliby nie pokazać aprobaty i szacunku wymieszanego z nutą zazdrości.

Rozpoczyna się żarcie. Nie, nie obiad, tylko właśnie żarcie. Inaczej nie można tego opisać. Na stoliku pojawiają się: słoneczniki, kurczaki, jabłka, nóżki w sosie i rzeczy, których nie rozpoznajemy. Wszystko jest błyskawicznie wciągane przez chłopaków z naprzeciwka, przy akompaniamencie mlaskania, siorbania i smarkania. Znaczna część jedzenia ląduje na naszych nogach, razem z obcinanymi przez współpasażerów paznokciami. Po godzinie biesiady jedziemy już w zupełnym chlewie. Partyjny rozgląda się po wagonie z przeświadczeniem wyższości nad resztą wszechświata, rzucając porcje niedojedzonego jedzenia na nasze stopy. Mniej więcej co godzinę przychodzi obsługa pociągu, która wymiata szczotami śmietnik spod nóg, aby zrobić miejsce na nadchodzącą porcję odpadków. Regularnie, gdy przebudzamy się z płytkiego snu, odkrywamy z obrzydzeniem, że nasi współpasażerowie rozprostowują sobie nogi, kładąc brudne, oblepione stopy na nasze kolana. Zrzucamy je, zasypiamy, a po przebudzeniu sytuacja się powtarza.

Mijamy smutne, betonowe miasta zapchane blokami. Im dalej na południe, tym roślinność nabiera bardziej intensywnych barw. Z rzadka pojawiają się charakterystyczne, wysokie i łagodnie zakończone pagórki, z których słyną okolice miasta Guilin. Do celu docieramy nad ranem. Nieduża stacja kolejowa sprawia wrażenie uśpionej i prowincjonalnej, a przecież Guilin z ludnością w granicach miliona zostałoby uznane w Europie za całkiem spore miasto.

Przez Guilin przejedziemy kierując się do położonego w cudownej scenerii miasta Yangshuo. Guilin leży w autonomicznym regionie Kuangsi, uważanym (słusznie zresztą) za jeden z najpiękniejszych w Chinach. Miasto jest zadbane i panuje w nim jakby bardziej swobodna atmosfera. Przy większej ulicy mieszczą się salony zachodnich luksusowych marek oraz niezliczone sklepy miejscowych producentów. Jednak gdyby nie łagodnie zakończone mogoty osiągające dwieście metrów, miasto niczym szczególnym by się nie wyróżniało. Definicja „mogoty" w Wikipedii jest idealna: „ostaniec krasowy, w postaci izolowanego, zazwyczaj kopułowatego lub stożkowanego wzgórza o bardzo stromych, skalistych zboczach, zbudowanych ze skał krasowiejących, które oparły się procesom denudacji". Po ludzku są to pagórki o bardzo stromych ścianach.

Historia Guilin sięga VI wieku, ale niewiele namacalnego po niej zostało, bo władza ludowa wpadła na śmiały pomysł. Zabytki w dużej części zostały zrównane z ziemią wraz ze starymi domami. Skoro stawiamy na nowoczesność, to nie potrzeba nam starej zabudowy. Zastąpiono je piękną, fantazyjną i lekką architekturą w postaci betonowych bloków. Z czasów dawnej świetności pozostały parki, małe pałace oraz najwyższa w okolicy góra z punktem widokowym. Wszystko obok siebie. Obszar ogrodzono i postawiono kasy biletowe. Wejściówka to raz, ale za każdy punkt wewnątrz trzeba dopłacić. A ile? Niespodzianka, bo można się dowiedzieć dopiero za bramkami. Przed kasą kręcą się kobieciny, które twierdzą, że atrakcje kosztują w sumie po dwieście juanów za głowę, ale one załatwią za pół ceny. Mówią po angielsku, ale nie wiedzą co, bo często mylą im się odpowiedzi i wychodzi parodia. Nie ryzykujemy. Wyparują i zostaniemy z bezwartościowymi kwitkami.

Naszym oczom ukazuje się budynek z szyldem *Tourist Center – Information*. Normalnie szał. Zasięgniemy języka na temat transportu do Yangshuo. Może zasugerują lokalne atrakcje. Wchodzimy. *Hello-hello.* Jak na razie jest szansa, że się dogadamy. Pani zapytuje: *me-iai-hjp-ju.* Tak szybko, że potrzebujemy pięciu sekund, żeby przetworzyć, iż pyta się, w czym pomóc. Na każde pytanie otrzymujemy pewną i przemyślaną odpowiedź: „*no*". Wnioskujemy, że pani:
A) nie rozumie pytań,
B) nie chce pomóc,
C) obie wcześniejsze odpowiedzi są prawidłowe.
Po siódmym „*no"* z rzędu, zadajemy pytania testowe w stylu:
– Czy Chiny są pięknym krajem?
– No.
– Czy może nam pani powiedzieć, czy niebo jest niebieskie?
– No.
Pojedynczy mięsień jej na twarzy nie drgnie. Nasza konsultantka jest zdecydowanie na „nie". Super. Dawno nie graliśmy w „pomidora" i widzimy, że gra może mieć zastosowanie w życiu codziennym. Pośmialiśmy się i mimo że niewiele informacji uzyskaliśmy, to było sympatycznie. (...)

Malownicze okolice Yangshuo

(...) Według opisów w przewodnikach, Yangshuo jest małą, dość spokojną mieściną. Może i tak było pod koniec lat osiemdziesiątych, gdy był tutaj jedynie wiejski targ. Informacje są nieaktualne. Miasteczko to imprezownia dla bardziej zamożnych Chińczyków, którzy w weekend chcą ruszyć na wycieczki i bawić się do białego rana w barach. Nie twierdzimy, że to źle, ale spodziewaliśmy się spokojnego miejsca. Główna ulica to skupisko walczących o klientów knajp i dyskotek, przeplatanych sklepami z pamiątkami. Wieczorem pasaż oświetlają setki kolorowych neonów. Mc Donald's, KFC stanowią konkurencję dla tradycyjnych restauracji. Położony nad jeziorkiem, wśród zielonych pagórków Mc Donald's może startować do tytułu najpiękniej ulokowanej placówki tej sieci.

Mieszkańcy mają smykałkę do interesów. Widzą, że najprostszym źródłem pieniędzy są turyści. Nie jest dla nich tajemnicą, że znajomość angielskiego to rzadkość w ich przepięknym kraju. Dlatego właściciele guest house'ów oraz hotelików mówią zabawnie, lecz płynnie po angielsku i dobrze na tym zarabiają. Podróżujący po Kraju Środka, którzy po paru tygodniach usłyszą pięć słów w zrozumiałym języku, zaczynają ufać osobie, z którą da się porozumieć – i postarają się z nią załatwić najwięcej spraw (to znaczy dadzą zarobić). Wielu hotelarzy, z którymi mieliśmy okazję się spotkać, było aż obrzydliwie przyjaznych (to takie niechińskie). Witają od progu z szerokimi uśmiechami. Wszyscy są Dżony, Bille i Dżaki, tudzież noszą inne *cool* brzmiące dla nich imiona. Ale w sumie i tak byśmy nie zapamiętali ich prawdziwych, więc pomysł dobry. (...)

Decydujemy się na rejs w okolice, które zostały uwiecznione na chińskich banknotach. W pięknej scenerii dojeżdżamy na skuterze do nabrzeża. Niewielka zatoka, dziesięć sklepów, targ z owocami. Podchodzi grupa starszych pań, które stojąc od nas w odległości me-

tra, krzyczą na cały głos: *halooooo bambuuuu, halooooo bambuuuu, misterrrrr bambuuuu*. Szukamy rejsu tratwą z bambusa, więc pewnie tego dotyczy nawoływanie. Znają pojęcie „turysta" i posiada podobne znaczenie jak „bankomat". Podpytujemy, aby ustalić przedział cenowy. Nie jest drogo, ale w porcie będzie taniej. Zadanie pytania było błędem, bo gdy dziękujemy pani za pomoc i chcemy odjechać, kobieta podnosi krzyk. Pakuje się na jeden z naszych skuterów. Spychamy ją, pokazując, że już na każdym jadą po dwie osoby. To ona chce jako trzecia, wykrzykując jedyne znane sobie hasło: *halooooo bamboooo*. Komedia. Trzyma pojazd i próbuje docisnąć się do naszych pleców. Pokazuje, że ona pojedzie, a jedno z nas pójdzie na piechotę. Dobre przedstawienie. Nie wiemy, jak zareagować. Jest agresywna, ale sytuacja jest tak abstrakcyjna, że nie dowierzamy. Halo bambu. Wyrywamy się. Ku naszemu zdziwieniu kobiecina zaczyna biec w prawie czterdziestostopniowym upale. Siła grawitacji nie ułatwia zadania przy jej pokaźnych gabarytach. Kontynuuje walkę. Odjeżdżamy, a pani znika w oddali. Przejeżdżamy przez most, dojeżdżamy do portu. Cena spada w stosunku do propozycji natrętnej pani. Dobijamy targu. Aż tu nagle z głośnym sapaniem stacza się w kierunku zatoczki pośredniczka. Pot leje się strugami, ale dobiegła. Szacunek. Dziękujemy jej jeszcze raz, zapewniając, że cieszymy się z jej towarzystwa. Babka biega, wrzeszcząc po nabrzeżu. Krzyczy na właściciela tratwy, z którym mamy już wypłynąć. Facet wycofuje się z wycieczki. Do kogokolwiek byśmy podeszli, to *biznes-bambu-woman* przekrzykuje nas i szarpie przewoźników, których może dosięgnąć. Przestaje być zabawna. Uznała, że chyba jesteśmy do niej przypisani. Trzeba się jej pozbyć. Wyprowadzimy ją na górę i zablokujemy. Idziemy do skuterów, licząc, że będzie nas maltretować. Misterny plan działa. Wchodzi po schodach i próbuje po raz kolejny sprzedać wycieczkę. Kiedy jest z nami na szczycie, to trzy osoby schodzą na dół, a czwarta blokuje schody. Jak kobieta zaczyna się pchać i grozić, to wystarczy pokazać zaciśniętą pięść, odpowiadając na jej krzyki groźbami w stylu „chodnik, poziomka, śliwka, żyrandol, osiem, dwa". Byle głośniej. Robi się dobre show. Pół portu patrzy zauroczone scenką. Przekrzykiwania trwają w najlepsze, a grupa na dole załatwia sprawę. Gdy odbijamy od brzegu, właściciel tratwy uśmiecha-

jąc się, pokazuje kciuk w górze. Szacunek. Tym razem dla nas. To była twarda przeciwniczka.

Widoki są niczym z folderów, pogoda dopisuje – jednym słowem: idealnie. Naszym zdaniem, spływ przebija słynną wietnamską zatokę Ha Long. Mnóstwo tratw, ale nie jest tłoczno. Sporo jest par na sesjach ślubnych. Rzeka zakręca raz za razem, więc co chwilę widok się zmienia. Można leżeć na tratwie, moczyć nogi, opalać się – kto co woli. Przyznajemy znaczek *must see*.

Kiedy wracamy do skuterów, jedno z lusterek jest zbite. Dosięgła nas zemsta *halo-bambu*. Od ulicy oddziela nas wysoki krawężnik. Jacek zbyt mocno podkręca gaz i nie zdąża przycisnąć hamulca, stojąc obok skutera. Pojazd porywa go za sobą tak, że leci jak superman i trafia w stojącą na skraju skarpy ciężarówkę. Nic mu się nie stało. Skuter się trochę poobijał, ale mieliśmy dużo szczęścia, że ciężarówka właśnie tam stała. Za nią rozciąga się strome urwisko. Mało brakowało. Bez dalszych przygód wracamy do hosteli. (...)

Ostatni turyści w Wietnamie

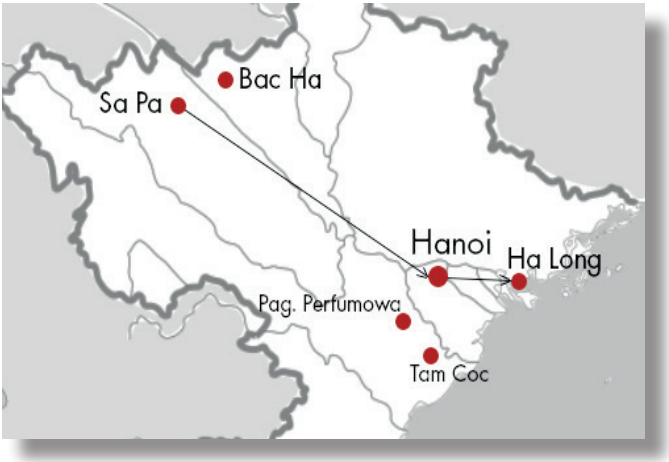

Wyludniona zatoka Ha Long, koronawirus wraca do Wietnamu

Nie taka jaką sobie wyobrażaliśmy zatoka Ha Long i pierwsze wyraźne symptomy nadchodzącego lockdownu.

Zostawiamy tarasy ryżowe za sobą i ruszamy do zatoki Ha Long. O umówionej godzinie przyjeżdża autokar. Jakież jest nasze zdziwienie, że wygląda zgoła inaczej niż ten, którym jechaliśmy do Sa Pa. Zaczynamy rozumieć dopytywania hotelarza o klasę, którą chcemy pojechać. Producent przewidział pojemność pojazdu na mniej więcej czterdziestu pasażerów, a już teraz jest w nim pewnie ponad sześćdziesięciu. Czekają kolejni. A to nie jest jeszcze ostatni przystanek przed opuszczeniem Sa Pa.

Wpuszczają nas do środka, to znaczy otwierają się drzwi i gdyby nie to, że kierowca bierze Dominikę na ręce i niesie na koniec autobusu, to nie pomyślelibyśmy nawet, że się zmieścimy. W delikatnym podświetleniu sufitu ciężko zobaczyć szczegóły wnętrza, a tym bardziej zauważyć, co jest pod nogami. Na podłodze w przejściach śpią

ludzie. Nie reagują na jakiekolwiek „*sorry*" czy inne sugestie, tylko patrzą bez ruchu, licząc na to, że nie nadepnie się im na twarz. Parę razy następujemy na kogoś, bo nie widać, czy dany fragment przejścia jest „wolny". Dominika woła „mamo, pan kierowca stanął jakiemuś panu na głowie". Nie dostajemy „normalnych" miejscówek, ale wrzucają nas na sam koniec, na tekturową płytę przykrywającą silnik. Wczołgujemy się w ciemną przestrzeń nieco rozbawieni – głównie tym, że wciąż proste rzeczy potrafią nas zaskoczyć. Wysokość półki to może z sześćdziesiąt-siedemdziesiąt centymetrów. Można się unieść na łokciu. Jak patrzymy na to, co się dzieje wokół, to mamy całkiem niezłą sytuację. Dostaliśmy dużą, płaską powierzchnię, to się wyśpimy. Nie ma tak dobrze. Dopakowują dwie kolejne spore osoby i przestajemy się mieścić, ale i tak lepiej niż na fotelach. Dominika aż piszczy z radości. (...)

Autobus jedzie całą noc i nie zatrzymuje się ani razu. Toalety brak. Postój zająłby minimum godzinę na upakowanie pasażerów. Nad ranem dojeżdżamy na dworzec, a bardziej przystanek autobusowy w mieście Ha Long, nad zatoką o takiej samej nazwie. Wyrzucają nas na skrzyżowaniu wśród betonowych domów. Koniec trasy. Tak jak powinno być, a nie oczekiwanie, aż pasażerowie raczą się wyspać. Młoda twierdzi, że to najlepsza podróż w jej życiu.

Trzeba się ogarnąć. Liczyliśmy, że wysiądziemy w miejscu pełnym noclegowni, ale tak nie jest. Mamy lokalną kartę SIM, więc zamiast szukać pokoju na chybił trafił, to zarezerwujemy przez internet. Zostawimy bagaże, weźmiemy prysznic i pojedziemy do portu, aby załatwić rejs. Klik i dostajemy z hotelu maila z dołączoną mapą. W wąskich uliczkach po drugiej stronie drogi znajdujemy zarezerwowany kwadrans wcześniej hostel. Ku naszemu zdziwieniu, obudzony portier macha żebyśmy sobie poszli i odwraca się plecami. Nie chce popatrzeć na potwierdzenie rezerwacji. Zamyka drzwi na łańcuch i idzie spać. Szukamy, pukamy, ale kwatery, hostele, guest house'y są nieczynne. Mieszkańcy patrzą się w ciszy przez pozamykane kraty. W milczeniu omijają nas szerokim łukiem. Wygląda na to, że jeśli chcemy dzisiaj wypłynąć na zatokę, to musimy to zrobić z bagażami. Pakujemy plecaki do taksówki i jedziemy na przystań, licząc na to, że zrozumieliśmy się z kierowcą co do kierunku. Najlepsze jest to, że z Google Maps nie

wynika, gdzie znajduje się port. Typujemy parę potencjalnych miejsc, ale pewności nie mamy. Taksówki w Wietnamie są tanie, w cenie poniżej dwóch złotych za kilometr, więc w razie konieczności można podjąć parę prób dojazdu.

Po pół godzinie wtaczamy się na parking, mogący pomieścić kilkaset autobusów. Jest całkowicie pusty. Sklepy pozamykane, obiekt wygląda na opuszczony. Zatrzymujemy się obok trzech pań siedzących przy budce strażnika. Obstawiamy, że taksówkarz nabił kilometry i wywiózł frajerów w odległe miejsce. Trudno – i tak się z nim nie porozumiemy. Wysiądziemy i będziemy studiowali mapy, zastanawiając się, co dalej. Na nasz widok jedna z kobiet zrywa się i podbiega uśmiechnięta z pytaniem, czy potrzebujemy rejsu po zatoce. Dziwnie to wygląda i nie jesteśmy przekonani, czy nie jest to kolejny przekręt. Po nieprzespanej nocy zrobiliśmy się podejrzliwi. Jeżeli kierowca zawiózł nas do złej lokalizacji, to i tak mamy dzień stracony, ponieważ dobiega godzina, o której wypływają statki. Zaryzykujemy. Płacimy panu i dajemy się prowadzić pani.

Mimo braku ruchu, okazuje się, że port jest otwarty. W budynku z napisem „Marina" upakowano schludne sklepiki i dziewięć czy dziesięć kas biletowych. W każdej siedzi nienagannie ubrana pani i czeka. Mundurek, fryzura i makijaż. Czeka i czeka, tylko klientów brak. W obszernej poczekalni jest w sumie pięć osób: dwie panie pośredniczki oraz my. Po pertraktacjach schodzimy z ceny 3,8 miliona dongów za prywatną wycieczkę do 1,2 miliona dongów (około 120 PLN) za rejs większym statkiem. O taki nam chodziło. Każą czekać. Po upływie pół godziny podjeżdża autokar. Wycieczka z polskiego biura podróży. Próbujemy podpytać o sytuację w Wietnamie, bo widać, że robi się niewesoło, ale turyści nic nie wiedzą, a przewodnik jak słyszy, że jesteśmy sami, to urywa w pół słowa i pociąga grupę za sobą. Jakbyśmy chcieli mu porwać jedyną dostępną łódkę. Pomocny chłop nie jest. Z grzeczności nie wymienimy nazwy biura. Przez godzinę, w najbardziej atrakcyjnej do wypłynięcia części dnia, pojawiają się w sumie dwa autokary. Marne dwie sztuki. Ha Long z turystycznego punktu widzenia jest w agonii. Obstawiamy, że jeśli w ogóle wypłyniemy, to możemy być ostatnią grupą na długi czas. Nikomu nie będzie się opła-

Krajobrazy pobliżu Yangshuo należą do najpiękniejszych na świecie. Chiny.

Na niedzielnym targu w miejscowości Bac Ha. Wietnam

cało utrzymywanie infrastruktury dla kilkudziesięciu osób dziennie. O tej godzinie powinny tu być ich tysiące. W 1998 roku zatokę odwiedziło 300 tys. turystów, cztery lata później już 1,7 miliona, w 2018 aż 15,5 miliona. Rok 2020 nie będzie rekordowy.

Dołącza do nas para Wietnamczyków oraz piątka studentów z Francji, którzy przyjechali na wymianę studencką do Hanoi. Z powodu COVID-19 odwołano im zajęcia, więc jeżdżą po kraju. Dobrze, że są, bo jako grupa stajemy się bardziej atrakcyjni dla właścicieli łodzi. Idziemy na przystań. Pośredniczka zaczyna kalkulować i ku jej zdziwieniu impreza się nie opłaca. Podchodzi z rozbrajającym uśmiechem i stwierdza: „*ju no meny turist, ju pej mor, okejjj?*" Wszyscy zgodnym chórem w takim samym tonie odpowiadamy: „*noł okejjj*". Obdarzamy panią równie promiennymi uśmiechami. Kobieta przyjmuje odpowiedź z godnością i ustalona cena zostaje. Jeżeli będą chcieli odwołać rejs, co jest całkiem prawdopodobne, to będziemy pertraktowali. Francuzi też są skłonni dopłacić. Kapitan zgadza się ruszyć, trzymając się pierwotnych ustaleń. Odetchnęliśmy, że się uda, bo stracenie tego punktu wyjazdu byłoby bolesne.

W zatoce Ha Long, usłanej prawie dwoma tysiącami wysepek, miały miejsce trzy istotne bitwy z mongolskimi i chińskimi najeźdźcami, co przyczyniło się do powstania legendy, według której kraj został obroniony przez wielkiego smoka, który zanurkował w zatoce, niszcząc wrogą flotę, a uderzając ogonem, utworzył archipelag wysp. Nazwa oznacza miejsce, w którym „smok schodzi do morza". Naukowcy obstają przy swoich teoriach uformowania krajobrazu, to znaczy erozji wapiennych skał trwającej 500 milionów lat, która powodowała tworzenie się mogotów, czyli stromych wzgórz wyglądających często jak kamienne słupy porośnięte niską roślinnością, znanych nam z chińskiego Yangshuo. Wystają nad powierzchnię wody na pięćdziesiąt czy sto metrów. Zdarzają się też wyższe. Wyglądają pięknie. Zatoka jest bezludna, gdyż władze nakazały wyprowadzkę z wysp mieszkańcom. Ludzie przenieśli się na łodzie i żyją z rybołówstwa i turystów. Stanowią całkiem liczną grupę, szacowaną na ponad 2 tys. osób.

Wypływamy samotnie z portu. Dziesiątki statków pozostają zacumowane. W oddali widać transportowce oraz majaczące na ho-

ryzoncie pierwsze wyspy. Na oglądanych zdjęciach pełno było łodzi, a dzisiaj jest spokojnie. Zazwyczaj można podróżować stylizowanymi na lata dwudzieste XX wieku jednostkami z żaglami (chociaż tylko w celach dekoracyjnych) w stylu kolonialnym. My dzisiaj nie mamy żadnego wyboru. Chociaż zapewne wybralibyśmy dokładnie taki statek, na którym płyniemy. Jesteśmy w kilkanaście osób, a na pokładzie mogłoby się pomieścić pięć, sześć razy więcej. Przez cały dzień mijamy maksymalnie dziesięć podobnych do nas grup.

W porannym, ostrym słońcu wyspy są szare, a woda stalowa. Widoki są przyjemne, ale bardziej się nam podobał krajobraz w Tam Coc, gdzie góry komponowały się z zielonymi polami ryżu i rzeką. Może łodzie na horyzoncie nadałyby więcej uroku zatoce i dając punkt odniesienia pozwoliłyby zobaczyć masywność skalnych form. Relaksująca wycieczka, ale o dziwo bez większej ekscytacji. Na pewno zdjęcia z drona wyglądałby obłędnie, ale z poziomu wody widoki nie są aż takie, jak oczekiwaliśmy. Chyba za dużo się naoglądaliśmy przerobionych w Photoshopie folderowych zdjęć.

Dobijamy do brzegu i wychodzimy na niewielką plażę, z której strome schodki prowadzą do wejścia do jaskini Hang Sung Sot – Jaskini Niespodzianek. Z platformy rozciąga się wspaniała panorama. Z góry wysepki wyglądają zdecydowanie ładniej i widać ich więcej. Wchodząc do groty, nie spodziewamy się niczego wielkiego. Jaskinia to jaskinia. Stalaktyty, stalagmity, patrzenie pod nogi, żeby się nie pośliznąć. Początek faktycznie taki jest, ale po wejściu do głównej części Sung Sot robi wrażenie, bo skoro Jaskinia Niespodzianek, to jest i niespodzianka. I to spora. Człowiek się rozgląda i mówi „no to nieźle". Widok jest imponujący, a gospodarze zadbali o odpowiednie podświetlenie. Setki, a może tysiące stalaktytów i stalagmitów otaczają wytyczoną ścieżkę, kropelki wody wciąż skapują po skałach, nadając im niesamowite kolory. Nie chodzi się wąskimi korytarzami, ale wychodzi na olbrzymią grotę. Po prawej stronie przez szpary w sklepieniu przebija światło, a lewa strona jest delikatnie oświetlona. Ścieżka to schodzi w dół, to wspina się ku górze. Jaskinia zajmuje dwanaście tysięcy metrów kwadratowych, z czego znaczna część w jednej sali. Z widzianych jaskiń to nasz zdecydowany numer jeden.

Wracamy na statek. Słońce jest wyżej i zmienia się kolorystyka. Teraz zielone pagórki wyraźnie odcinają się od błękitnej wody. Zrobiło się znacznie ładniej. Polecanym punktem jest wyspa Titowa, nazwana przez samego Ho Chi Minha na cześć radzieckiego kosmonauty Giermana Titowa, znanego z tego, że jako pierwszy przebywał na orbicie całą dobę i sam sterował statkiem. Związek z Ha Long jest niewielki. U podnóży mogotów odpoczywamy na prawie pustej piaszczystej plaży. Z góry, po wspięciu się na kilkaset stopni, roztacza się najlepsza z widzianych przez nas panorama zatoki. Namiastka tego, czego spodziewaliśmy się doświadczać w czasie rejsu. W dole pas żółtego piasku, niebieskie niebo i porozrzucane wysepki o nieregularnych kształtach. Większe i mniejsze, a między nimi dwa czy trzy statki. Musi to super wyglądać, gdy jest ruch albo wieczorem, przy zachodzącym słońcu. Ha Long wygląda zdecydowanie lepiej na zdjęciach niż na żywo.

Spokój na wyspie zakłócany jest jedynie przez polską wycieczkę. Nie, żebyśmy byli uprzedzeni, ale teksty krzyczane przez pół wyspy są wyjęte żywcem z kabaretów.

– Mileeeenka, mamcia się pyta na skajpie, gdzie my jesteśmy.
– W Wietnamieeee, mordko.
– Ano, no, no tak, a co to gdzie teraz?
– Co mnie to, co mnie pytasz? Woda jakaś. No nie wiem, co ja...
– Złociutka no, w wodzie siedzimy, ty wiesz, wodzie...

I tak dalej. I tak dalej. To w wersji mocno ocenzurowanej. Dopiszcie sobie sami brakujące elementy. (...)

Podczas rejsów program może być bogaty, są kajaki, którymi przepływa się przez mini jaskinię Hang Luon, organizowane są warsztaty kulinarne, noclegi, postoje na wyspach ze zwiedzaniem grot czy kursy jogi. Sporo tego, ale żeby zobaczyć Ha Long, jeden dzień pływania wystarcza.

Dobijamy do portu późnym popołudniem. Pora załatwić nocleg. Francuzi znaleźli otwarty hotel kawałek od przystani, na końcu długiego cypla. Jak nie zakwaterujemy się w pobliżu, to dojdziemy do nich. Wyciągamy plecaki na brzeg i idziemy długą na kilkaset metrów promenadą z szyldami hoteli. Booking.com pokazuje w pobliżu dostępne noclegi. Drogo. Ceny oscylują w widełkach 600-1000 złotych.

Ale w sumie czego się spodziewać w jednym z bardziej rozreklamowanych miejsc w Azji? Wspominając dodatkowo poranne kłopoty z rezerwacją przez internet, postanawiamy poszukać „na żywca".

Ulica kolorowa od reklam noclegów jest wymarła. Wzdłuż stoi mnóstwo domów zaznaczonych na mapie jako hotele, ale światła są wyłączone, a drzwi pozamykane łańcuchami. W witrynie jednego z nich zauważamy bawiące się dziecko, więc wchodzimy. Przybiega zaskoczona kobieta. Obiekt jest zamknięty, jak wszystko inne w okolicy, ale właścicielka mieszka na parterze, więc może nam wynająć pokój. Jesteśmy jedynymi gośćmi. W odległości może 200 metrów od głównego portu w Ha Long dostajemy ofertę za parę dolarów. Kobieta cieszy się, że cokolwiek się dzieje. Wieczorem przechodzimy przez hotel. Trzydzieści wysprzątanych pokoi z czysto zasłanymi łóżkami stoi pustych. Uchylone drzwi tworzą smutny widok, nie dając złudzeń, że w którymkolwiek są zakwaterowani goście.

Wychodzimy w poszukiwaniu jedzenia. Na ulicy nie ma żywej duszy z wyjątkiem dwójki nastolatków w maskach grających w kometkę. W porcie stoi tylko jeden statek. Ciekawe, gdzie się podziała reszta. Teatr lalek na wodzie kołysze się z grubą kłódką na drzwiach. Miasto duchów. W jednym z mijanych domów świeci się światło. Parter wygląda jak bar, więc pytamy o jedzenie. Uradowania pani proponuje nam ryż z warzywami, który gotuje dla swojej familii. Jeżeli nam pasuje, to starczy dla wszystkich. Jasne, że tak. Jemy razem z jej rodziną. W trakcie kolacji wyłączają prąd w całej dzielnicy, więc kończymy przy świeczkach.

Zaczyna to wszystko wyglądać abstrakcyjnie. Na ulicach ciemno, sklepy, bary i stragany pozamykane. Nie mamy jedzenia na rano. Chodzimy z nadzieją, że trafimy na otwarty sklep, w którym zaopatrują się mieszkańcy. Dziesiątki mijanych punktów są zakratowane. Zaczepiona zbłąkana para turystów twierdzi, że w okolicy nic nie kupimy. Uznajemy, że portowa stacja CircleK jest ostanią szansą na zdobycie chociaż wody i bułek. Jako że jest to sieciówka, to może być otwarta, bo management kazał pracować, to pracownicy siedzą. Jak przyjdą wyniki, że przez kwartał zarobili sto dolarów, to zakończą działalność. Dedukcja jest słuszna. Z daleka stacja wygląda na opuszczoną, ale z

nadzieją podchodzimy bliżej. W środku ciemno, ale otwarte. Wciąż nie ma prądu. Personel nudzi się, świecąc sobie komórkami. Czujemy się jak w amerykańskich filmach o zombie, chodząc między półkami i szukając z latarkami batonów oraz zaglądając do wyłączonych lodówek.

Wieczorem zagadujemy właścicielkę hotelu korzystając z translatora. Mówi, że miasto wyludniło się po pierwszych przypadkach wirusa na początku lutego 2020 roku. Całkowicie zniknęli turyści z Chin, stanowiący znaczną część gości, a Wietnamczycy ograniczyli wyjazdy. Trafiają się jeszcze pojedyncze wycieczki z Europy, które zostały sprzedane z wyprzedzeniem i ludzie nie zrezygnowali. W Ha Long w ciągu dwóch tygodni zamknęła się znaczna część hoteli, potem bary, a teraz już reszta dogorywa. Właściciele długo nie walczyli. Uśpili biznesy i przeczekują. Obstawiamy, że jutro lub pojutrze zatoka zostanie odgórnie zamknięta. Nie mamy dostępu do informacji, na których moglibyśmy polegać. Z jednej strony internet działa, ale podawane komunikaty tłumaczymy przez translator i trudno wyłapać istotne szczegóły, bo władze nie chcą siać paniki, a dwa – że rząd komunistyczny prawdy nie powie i trzeba by czytać między wierszami, a nie znając realiów, to się nam nie uda.

Zakładaliśmy, że Ha Long będzie tętnił życiem, a tymczasem jest już praktycznie zamknięty. Na pobliskiej wyspie Cat Ba jest już wirus. I obowiązkowa kwarantanna. Jak będą rozszerzali obszar izolacji, to z dużym prawdopodobieństwem zahaczy o nas. Trzeba się zawijać. Nie ma co ryzykować blokady, a poza tym nic więcej w Ha Long już nie zobaczymy. Kupujemy bilet lotniczy do Da Nang, leżącego dziewięćset kilometrów na południe od zatoki. Rankiem, taksówką zabieramy się na oddalone o siedemdziesiąt kilometrów lotnisko. Wysiadając z samochodu nie jesteśmy przekonani, czy terminal działa, bo nie ma na nim pasażerów, okienka odprawy są wygaszone. Okazuje się, że mamy bilety na jedyny lot w dniu dzisiejszym. Wyjeżdżamy z miasta-widma, które jeszcze do niedawna było jednym z bardziej obleganych przez turystów miejsc świata.

Dziękujemy za pobranie i przeczytanie fragmentów książki.
Jeżeli się Wam spodobały to zapraszamy do zakupu
drukowanego egzemplarza na stronie:

www.odkupimywaszebilety.pl